Nr. 24. Sobota dnia 21-go czerwca 1913.

# Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

## Na niedzielę szóstą po Zielonych Świątkach.

### LEKCYA

z listu św. Pawła do Rzymian, rozdział VI, wiersz 3—11.

Bracia! Którzykolwiek w Chrystusie Jezusie ochrzceni jesteśmy, w śmierci Jego ochrzceni jesteśmy. Albowiem jesteśmy z Nim pospołu pogrzebieni w śmierci przez chrzest, aby, jako Chrystus wstał z martwych przez chwałę Ojcowską, tak i my żebyśmy w nowości żywota chodzili. Bo jeżliśmy się wszczepionymi stali w podobieństwo śmierci Jego, społem i w zmartwychwstaniu będziemy, wiedząc to, że stary nasz człowiek pospołu jest ukrzyżowan, aby zepsowane było ciało grzechu i dalej nie służyliśmy grzechowi. Bo kto umarł, usprawiedliwion jest od grzechu. A jeśliżeśmy z Chrystusem umarli, wierzymy, iż wespół też z Chrystusem żyć będziemy, wiedząc, że Chrystus powstawszy z martwych, więcej nie umiera, śmierć Mu więcej panować nie będzie. Bo iż umarł grzechowi, raz umarł, a iż żyje, żyje Bogu. Także i wy rozumiejcie, iżeście są umarłymi grzechowi, a żywymi Bogu w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.

### EWANGELIA

u św. Marka rozdział VIII, wiersz 1—9.

W owym czasie, gdy wielka rzesza była z Jezusem, a nie mieli, coby jedli, wezwawszy Jezus uczniów Swoich, rzekł im: Żal Mi tego ludu, iż oto już trzy dni trwają przy Mnie, a nie mają, coby jedli; a jeśli je rozpuszczę głodne do domów ich, ustaną na drodze, bo niektórzy z nich z daleka przyszli. I odpowiedzieli Mu uczniowie Jego: Skądże ich będzie mógł kto tu na puszczy nakarmić chlebem? I zapytał ich: Wiele chleba macie? Którzy rzekli: siedmioro. I rozkazał rzeszy usiąść na ziemi. A wziąwszy siedmioro chleba, dzięki czyniąc łamał i dawał uczniom Swoim, aby przed nie kładli i kładli przed rzeszą. Mieli też i trochę rybek i te błogosławił i kazał przed nie położyć. I jedli i najedli się i zebrali, co zbyło z ułomków, siedm koszów. A było tych, co jedli, około czterech tysięcy i rozpuścił je.

### NAUKA.

**Przed jedzeniem i po jedzeniu mamy się modlić.**

„A wziąwszy siedmioro chleba, dzięki czyniąc, łamał i dawał uczniom swoim, aby przed nie kładli i kładli przed rzeszą".

Cud to oczywisty, siedmiorgiem chleba cztery tysiące ludzi nakarmić. Stało się to na puszczy, gdzie rzesza wielka przez trzy dni słuchała o głodzie Jezusowej nauki. Za to właśnie sowicie im wynagrodził Pan Jezus, bo ich nakarmił cudownie. Pierwej jednak wziął chleb w ręce swoje, dzięki nad nim czynił, łamał go i dawał uczniom swoim, aby oni kładli go przed rzeszą. Z tego to chleba każdy z nich brał sobie, ile chciał, i jadł. I najedli się wszyscy. Zostało jeszcze siedm koszów ułomków.

Zanim owe chleby Pan Jezus rozmnożył, czynił pierwej dzięki Ojcu niebieskiemu. Zanim chleby te rozpoczął rzeszy rozdawać, pierwej się modlił, żebyśmy tak samo czynili, żebyśmy też modlili się przy stole. Jakoż dawniej bywało tak, że bez modlitwy ani we dworze ani w chacie wiejskiej nie pożywano pokarmów. Z modlitwą na ustach zasiadali praojcowie nasi do stołu, z modlitwą też od niego wstawali. Był to zwyczaj prześliczny, dzisiaj poszedł on prawie w niepamięć.

A jednak jakiż to obraz uroczy, kiedy ojciec, matka i dzieci, czeladź, zebrawszy się przy stole, najpierw się pomodlą, a potem jeść zaczynają. Gdybyś tak przez okno do owej chaty naówczas zaglądnął, widząc to, zachwyciłbyś się nie mało. Powiedziałbyś sobie: tu w tej chacie cześć swoją Pan Bóg godnie odbiera, tu mieszkają ludzie, co Boga kochają. I z takiej chaty radbyś zapewne mieć żonę, radbyś mieć męża, bo dla takiej rodziny, co się modli przy stole, serce by twoje szczerze zapukało.

Powróćmy więc do tego starego zwyczaju. Nie tylko ma on wielki urok, ale nam i wielki przynosi pożytek, że nam przypomina dobrodziejstwa Boże. Św. Jakób apostoł powiada: „wszelki dar dobry i datek doskonały z góry pochodzi od Ojca światłości" (I. 17). I ten chleba kawałek, który pożywamy, dar to i datek, z góry nam dany od Boga. Wszak nie kto inny, ale Bóg sam rozmnaża na zagonach naszych, to zboże, z którego my chleb pożywamy. On to rozkazuje chmurom, aby pola nasze od czasu do czasu zraszały, tak i słońcu On rozkazuje, aby pod ciepłem jego rosło nam i urosło i dojrzało zboże... On otworzy rękę swą, a wszelkie stworzenie bywa nakarmione" (Ps. 145, 16).

My jednak o tej prawdzie zapominamy, a modlitwa przy stole nam ją przypomina. Z tego właśnie pożytek nam wielki. Modląc się przed jedzeniem, to jakbym mówił: „gdybyś nie Ty, Panie, śpiżarnia moja byłaby pusta, byłyby puste me gumna, na moim stole nie byłoby ni ziemniaczka, ni chleba. Umierałbym z głodu, ja i dzieci moje, gdyby nie Twoja hojna szczodrobliwość. A takie czasy bywały już nieraz, że ludzie jak muchy z głodu umierali, że jadali zamiast chleba pokrzywy. I z was niejeden te czasy, jeszcze pamięta. A po jedzeniu kiedy się modlę, to jakbym powiadał: „Tyś to Boże rękę Twą otworzył i nakarmiłeś żonę moją i dzieci moje i mnie".

Modlitwa więc przy stole na to mi wspomina, że ręka Boża mnie codzień nakarmia, nie zaś moja ręka, ani wola moja. Mogę i sto morgów roli posiać, a przecie obumierać z głodu, jeżeli na niej Bóg nie zarodzi.

Nie jeno tego mnie uczy modlitwa przy stole, że wszystko mam od Boga, ale i do wdzięczności serce me nakłania. A cnota wdzięczności, jakaż ona Panu Bogu miła! Bóg się od nas tej cnoty wyraźnie na-

wet domaga. Pewnego razu dziesięciu trędowatych uzdrowił Pan Jezus, ale jeden z nich tylko powrócił i złożył Mu za to dzięki powinne. A Pan Jezus odzywa się wtedy: „czyliż nie dziesięciu było oczyszczonych, a dziewięciu gdzież są?“ (Łuk. 17). Więc na tych żali się Pan Jezus, którzy Mu za zdrowie otrzymane nie okazali swojej wdzięczności. I na tego tak samo się żali, co to i zasiada i wstaje bez modlitwy od stołu. Odzywa się i do niego niejako: czyliż cię chlebem nie nakarmiłem, a przez to czy ci nie daję i zdrowia i sił do pracy, a ty mi za to i nie podziękujesz?

Ale takich to już i skowronek zawstydza: Patrzmy, jak z bruzdy skacze on na bruzdę, pożywienia szukając, a skoro się pożywił, wzbija się w powietrze i śpiewa. Na dziękczynienie Bogu on śpiewa za pożywienie, skrzydełkami przytem trzepocąc gwałtownie na znak wielkiej swojej wdzięczności. Więc i skowronek umie się Bogu za pokarm odwdzięczać, a ludzi tylu tego nie umie. Tacy to wielką sobie wyrządzają krzywdę, bo za ich niewdzięczność zamknie Bóg dary Swe przed nimi. Z wielkich bogaczów schodzą tacy zbyt często na wielkich nędzarzy.

Pamiętaj, żebyś do tych niewdzięczników i ty nie należał, pamiętaj więc modlić się zawsze przy stole. Nie opuszczaj tego świętego zwyczaju tem więcej, że on cię i pokory potrosze naucza. Jakim to sposobem? bo ci przypomina, że przed Bogiem jesteś żebrakiem. Nie inaczej, ale żebrakami przed Bogiem wszyscy jesteśmy, takimi jak i ten, co przy naszych drzwiach staje, prosząc nas o kawałek chleba. Jeśli mu tego chleba nie podasz ty, drugi, dziesiąty i żaden, żebrak ów z głodu umrze pod płotem. I z nami stałoby się to samo, gdy by nam Bóg urodzajów nie dał, nie napełnił naszej komory. Jakże ci więc nad drugich się wynosić, że większy masz od nich dostatek chleba, kiedy i to od Boga? Ile więc razy modlę się przy stole, to jakbym powiadał: wiem, że pukać mi trzeba, jak żebrakowi, do Twojej szczodrobliwości, Boże mój, wiem to, że całkowicie od Ciebie zależę. Więc modlitwa przy stole uczy nas pokory, bez której niemasz zbawienia.

Jeszcze jedno. Kto zwyczaj ma przy stole się modlić, taki nie tak łatwo miarę przebiera w jedzeniu czy w piciu. Zwyczaj odprawiania modlitwy przy stole broni nas bardzo skutecznie przed opilstwem, przed obżarstwem, bo nam przypomina, że Bóg nie po to stół dla nas zastawił, żebyśmy przebierali miarę, ale darów Jego używali skromnie, wstrzemięźliwie. Rzecz to pewna, że po naszych weselach nie byłoby tylu pijanych, obżartuchów tylu, gdyby przed jedzeniem pomodlili się wszyscy serdecznie. Wieleż to ubyłoby wtedy obrazy Bożej!

Do tego więc zwyczaju wszyscy powróćmy. Niechaj nas własny nasz pożytek do tego nakłoni. Modlitwa przy stole to nam zawsze przypomni, jak dobrym jest Bóg, że karmi nas za każdy dzień; modlitwa ta nakłoni serca nasze do wdzięczności ku Bogu, nauczy nas trzymać się w pokorze i wstrzemięźliwie darów Bożych używać. Nie sąże to wielkie pożytki?

A wystarczy i najkrótsza modlitwa. Kiedy wszyscy przy stole się zeszli, niech wtedy najstarszy w rodzinie tak się pomodli: błogosław Boże nas i te dary Twoje, które z Twojej szczodrobliwości pożywać mamy — przez Chrystusa Pana naszego — i przeżegnaj się. Po jedzeniu zaś mówcie: dziękujemy Ci, wszechmogący Boże, za wszystkie dobrodziejstwa, nam użyczone — w imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Wystarczy też przed jedzeniem zmówić Ojcze nasz, a po jedzeniu: „Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi świętemu, jak była na początku, teraz i zawsze i na wieki wieków. Potem należy się przeżegnać.

Św. Chryzostom mówi, że w rzeczach doczesnych chrześcijanin biedy nie zazna, kiedy z modlitwą na ustach zasiada i wstaje od stołu. Pewnie, że i większą obfitością chleba za to obdarzy nas Bóg ale rzecz to ważniejsza, że ta modlitwa i serca nasze bardzo uszlachetni i duszę przed Bogiem uświątobliwi. Więc z modlitwą na ustach zasiadajmy i wstawajmy od stołu. Niechaj i w tem wzorem nam będzie Pan Jezus Od tegoż dnia, kiedyście naukę tę przeczytali, zaprowadźcie u siebie ten chrześcijański zwyczaj modlitwy przy stole. Amen.

## Dobry uczynek nie ginie.

Było to w Paryżu. Wśród najostrzejszej zimy siedział starzec jakiś na rogu odludnej ulicy. Mogła być godzina 10 wieczór; mała liczba ludzi, co szli tamtędy, śpieszyli się, by najprędzej dostać się do domów. Zresztą myśleli, że ten starzec musi być pijany, kiedy na taki mróz siedzi na ulicy. Gdyby się jednak byli lepiej przypatrzyli, byliby zobaczyli, że jest trzeźwy i pomimo widocznego ubóstwa wyglądał przyzwoicie, ale jak rzekłem, nie mieli na to czasu.

Wreszcie szedł drogą jakiś młody człowiek, śpiewając i pogwizdując, stanął przed starcem i zapytał, co mu brakuje?

— Głodny jestem, wyjęknął starzec.

— Temu można zaradzić, — odrzekł młodzian. — Oprzyjcie się na mojem ramieniu i jeżeli możecie, chodźcie ze mną.

Ten młody człowiek, robotnik, zaprowadził starca do gospody, będącej w pobliżu, i kazał mu dać wieczerzę. Starzec jadł z takim apetytem, że towarzysz jego z rozkoszą przypatrując się, musiał go upomnieć, aby nie jadł tak prędko, bo może sobie zaszkodzić.

— Macie słuszność, — rzekł starzec, a przytem nie powinieniem waszej dobroci nadużywać; bo musicie pewnie wiedzieć, że nie mam pieniędzy na zapłacenie.

— To nic nie szkodzi, już ja się o to postaram. Macie, napijcie się jeszcze kieliszek wina, potem zaprowadzę was do domu.

Mieszkanie starca było nie daleko; gdy już przyszli wziął go robotnik za rękę i rzekł:

— Mnie się dobrze powodzi, zarabiam wiele na me potrzeby, a co mi się zostaje, to wydaję na rozrywki. Właśnie mam jeszcze 20 franków, zamiast je roztrwonić, dam je wam, proszę, weźcie to. Dobranoc.

To mówiąc, wcisnął młodzian starcowi 20 franków do ręki i szybkim krokiem oddalił się.

Starzec ten, którego dobrotliwa Opatrzność w tak dziwny sposób od śmierci głodowej i zmarznięcia ocaliła, był niegdyś urzędnikiem, który mały swój majątek przez złych ludzi utracił. Miał wprawdzie bardzo bogatego brata, ale ten wcale oń się nie troszczył i w nędzy go zostawił.

W niespełna rok po tem wydarzeniu, stracił ów brat twardego serca żonę i dwóch synów przez nagłą śmierć. On sam wkrótce po nich umarł, a cały majątek na mocy prawa przeszedł na jego opuszczonego brata. Ten nie zapomniał o swym dobroczyńcy; starał się wszelkim sposobem odszukać go i za pomocą dzienników wezwał go do siebie. Pewnego dnia zjawił się młody robotnik i przedstawił się staremu urzędnikowi, jako ten, którego wzywał przez dzienniki. Ale starzec nie znalazł w tym człowieku żadnego podobieństwa

z swym dobroczyńcą. Uprzejmie jednak i grzecznie przyjął gościa i rzekł:

— Więc to paneś mi przed dwoma laty tak wielką wyświadczył przysługę?

— Rozumie się — rzekł i wyprostował się dumnie, — teraz i pan mi możesz wyświadczyć przysługę, bo mnie się teraz okropnie źle powodzi.

— Kochany przyjacielu, — rzekł posępnie ów stary urzędnik, — bardzo by mnie cieszyło, żebym panu mógł się przysłużyć. Niech się pan tymczasem przed południem u mnie zatrzyma, a ponieważ teraz właśnie jest czas śniadania, to chodźmy do owej gospody, do którejś mnie pan wtenczas zaprowadził, wszak pan wiesz gdzie to jest?

— Nie, tego nie pamiętam, bo to już dawno było.

Wtenczas staruszek rzekł poważnie i surowo:

— Słyszysz, młody człowieku, źleś się wybrał; chcesz sobie zakpić ze mnie; jabym cię mógł oddać w ręce policyi. Ale ponieważ się domyślam, że znasz tego człowieka, którego ja poszukuję, obiecuję ci, że miasto cię wydać, dam ci sowitą nagrodę, jeśli mi powiesz, gdzie go znaleźć mogę.

— Masz pan słuszność. Mnie, com nigdy nikomu ani grosza nie dał, nie godzi się z dobrego uczynku mego towarzysza korzystać. Ten, którego pan szukasz, pracował wtenczas ze mną w tej samej pracowni, ale teraz jest w wojsku w Afryce, a to podało mi myśl, aby udać, że ja nim jestem; proszę pana przebaczyć mi ten krok nieuczciwy.

Stary urzędnik ucieszył się, że wreszcie wpadł na trop swego dobroczyńcy i natychmiast poczynił potrzebne kroki, aby go uwolnić od wojska; a skoro powrócił, przybrał go za syna.

# Baśń o talizmanie.

Żył przed laty w mieście hiszpańskiem Grenadzie, młody rycerz, sławny z dzielności, bogactw i urody, nazwiskiem Alfons Bondaro. Wszyscy, co go znali nie mogli się wydziwić szczęściu, jakie mu zawsze i wszędzie służyło: w bitwach z nieprzyjacielem, choć rzucał się w najgorętszy wir walki, wychodził zawsze zwycięsko; cokolwiek zaczął, udawało mu się niezawodnie; na dworze królewskim miał szczególne przywileje, a monarcha coraz to nowymi zaszczytami go obsypywał. Podziwiano go w około i powiadano o nim powszechnie: „oto szczęśliwiec!"

Alfons Bondaro miał giermka imieniem Zuano, którego lubił bardzo i ufał mu wielce, mając go więcej za przyjaciela i kolegę, niż za sługę. Zuano, udając życzliwość, był jednak przewrotnym i wykorzystać chciał wszędzie dla siebie dobroć swego pana i pochlebiał mu nieustannie. Rycerz Bondaro w ślepem zaufaniu do giermka, powierzał mu swoje plany i zamiary, a pewnego dnia, dowiedziawszy się, iż dama, o której rękę się starał, przyjęła łaskawie jego miłosne oświadczyny, w radosnem uniesieniu wyjawił Zuanowi swoją największą tajemnicę, której dotąd nie odkrył przed nikim. Oto oznajmił mu, że powodem jego niezmiennego szczęścia, którego sława tak szeroko się rozchodziła, był cudowny jakiś talizman szczęścia, który otrzymał on po zmarłym ojcu. Talizman ten mający postać złotej blaszki, na której wyryte były jakieś arabskie znaki, przechodził w jego rodzie z ojca na syna, a był zdobyty przez jednego z przodków Alfonsa, podczas wojen z Maurami. Było podanie, iż pochodził on od samego Mahometa.

Wiadomo to, że za szczęściem każdy z nas śmiertelników goni; nie jeden popełnia głupstwa, a nawet zbrodnie, aby je tylko dosięgnąć. Ale to szczęście, choć dosięgnięte trwa zwykle krótko i pochłania jako ofiarę tego, co go tak pragnął, bo musi stawać do walki z drugim, który także szczęścia tego pożąda i w walce tej na śmierć lub życie jeden z zapaśników polegdz musi, albo obā giną w zajadłym boju o to upragnione dobro doczesne.

Zuano usłyszawszy od swego pana wyjawienie tajemnicy, zapalił się żądzą posiadania owego talizmanu i postanowił skorzystać z pierwszej ku temu sposobności.

Gdy zbliżały się gody weselne Alfonsa Bondara, tenże odjeżdżając do swej narzeczonej, polecił Zuanowi, aby wszystko do uroczystości tej przygotował. Gdy w tydzień później oboje oblubieńcy wraz z wielką liczbą gości weselnych nadjechali, odbyły się zaślubiny, a potem huczne zabawy, igrzyska, turnieje itp.

Pan młody we wszystkich tych rycerskich ćwiczeniach otrzymał pierwszeństwo nad innymi. Chwalono powszechnie jego siłę i zręczność i piękną postawę. Młoda małżonka włożyła mu na głowę laurowy wieniec, jako przyznaną mu przez wszystkich nagrodę za męztwo okazane w walkach turniejowych.

Tegoż wieczora, Bondaro wróciwszy zmęczony z igrzysk, zanim udał się na spoczynek, uczuł pragnienie i kazał Zuanowi, by mu podał kubek wina. Gdy mu go Zuano przyniósł z drugiej komnaty, młody rycerz chciwie płyn wypił, lecz nagle kubek z rąk na ziemię wypuścił, zbladł jak ściana i z oczami w słup postawionemi z jękiem i głuchym łoskotem runął na posadzkę. Drgnął jeszcze parę razy, wreszcie martwo wyprężywszy się, skonał.

Zuano z drapieżnością tygrysa rzucił się ku zwłokom i rozerwawszy na stygnącej piersi ubranie, ściągnął z niej na sznurku zawieszony talizman i zawoławszy: — „Mam już szczęście!" — wsiadł na konia i w świat daleki uszedł.

Stał się wkrótce bogatym, sprawy wszelkie wiodły mu się, jak tego pragnął. Z ludźmi mało żył, bojąc się, by mu kto talizmanu nie odebrał. Złota blaszka mocą swoją odpędzała smutki i złe przygody; moc ta jednak okazała się w jednym względzie za małą, bo nie mogła w nim przygłuszyć wyrzutów sumienia i mimo, iż kupił sobie wspaniały zamek w cichem ustroniu, wyrzuty truły w nim spokój duszy i udręczenia mu sprawiały.

Pewnego wieczora, gdy truciciel siedział w bogatej komnacie, zalewał robaka zgryzoty dzbanem wina, usłyszał za nadejściem północy, trzykrotne pukanie do drzwi. Zuano myślał, że to tylko przywidzenie. Gdy jednak pukanie powtórzyło się raz, drugi i trzeci, zawołał: — „Kto tam?" — Lecz w tejże chwili, nim pospieszył ku drzwiom, by je otworzyć, podwoje same rozwarły się i weszła niemi bez szelestu, nogami ziemi nie tykając, postać jakaś w czarnej szacie, w której Zuano w najwyższem przerażeniu, poznaje swego pana. Widmo, wyciągnąwszy rękę, zawołało: — „Oddaj talizman!" — Zuano padł zemdlony na sofę, jak gdyby rażony piorunem. Gdy się ocknął, talizmanu na piersiach już nie miał.

Niezbyt daleko stamtąd, w starej baszcie stojącej śród dawnych obronnych murów, mieszkał wraz z nietoperzami i sowami, siwy mędrzec, czarodziej. Mieszkanie jego stanowiła mała izdebka z jednem okienkiem, zaopatrzonem w żelazną kratę. Na murze wisiała latarnia czarodziejska, obok leżały zioła, proszki, kamyczki, fajerka, krzesiwo i różne przedmioty nieznanego przeznaczenia, oraz rozpięte na ścianie suszo-

ne węże i jaszczurki. Sam starzec siedział nad wielką księgą, kiedy wszedł do izdebki jakiś obcy człowiek.

— Kto jesteś i czego żądasz?“ — zapytał łagodnie przybysza mędrzec.

— Jestem nieszczęśliwym, szukającym szczęścia, którem utracił.

Czarnoksiężnik wpatrzył się w gościa, którym był Zuano i spytał:

— A jaki miałeś sposób na owo szczęście?

Zuano opowiedział wszystko jak było; wyznał swą zbrodnię i dodał jakim sposobem talizman utracił. Zakończył wreszcie słowami:

— Zaklinam cię starcze, spraw niech odzyskam moje szczęście!

— Jeśli chcesz synu posiąść szczęście prawdziwe, żałuj za zbrodnię i pokutuj, a gdy ci Bóg wybaczy, osiągniesz szczęśliwy żywot w wieczności.

— Ja teraz chcę mieć szczęście, a o przyszłe nie dbam; nie po to do ciebie ojcze przyszedłem, abyś mi wieczną szczęśliwość obiecywał, lecz abyś mi dopomógł odebrać mój talizman. Wszak mniewasz do czynienia z duchami, uczyń więc, niech mi będzie oddany. Błagam cię, starcze, na wszystko!

Starzec na takie prośby i zaklęcia, rzekł do Zuana:

— Namyśl się jeszcze; masz do wyboru: powrócić w spokoju i ze skruchą w sercu pełnić dobre uczynki, pracując cierpliwie, aby zdobyć szczęście wieczne, albo też otrzymać doczesną pomyślność, dostatki i zaszczyty, a potem nieskończone ponosić męki.“

— Ja nie chcę pracować ani cierpieć! — krzyknął Zuano — właśnie na to chcę talizman, aby być wolnym od trosk na świecie!

— A więc pozwól, synu, niech ci przeczytam z księgi wróżb, co cię czeka.

I starzec roztworzywszy księgę, wyszukał te słowa: — „Szczęście przez talizman osiągniesz, ale głową je okupisz“.

— Niech się dzieje co chce, abym miał to szczęście! — zawołał Zuano. Wtedy czarownik zapalił na fajerce ogień, nakładł na nią ziela i odmówił słowa zaklęć. Powstał gęsty dym. Gdy ten ustąpił, ukazał się w świetle duch Alfonsa Bondara. Zuano cofnął się w bok z pewnem przerażeniem, podczas gdy mędrzec rozmawiał z duchem, który podał mu talizman szczęścia, poczem po nasypaniu proszku na węgle, powstał znów obłok dymu, wreszcie gdy się rozjaśniło, duch już znikł, a czarodziej w milczeniu podał blaszkę, którą tenże szybko chwyciwszy, bez pozdrowienia ani podziękowania, wybiegł z nią na pole, skąd słychać było tylko echo oddalających się kroków; echo to odbiwszy się o stare mury, umilkło.

Zaledwie cisza zaległa ruiny, dał się po chwili słyszeć znów odgłos jakichś kroków; po chwili uchyliły się też drzwi od izdebki czarnoksiężnika i wszedł do niej jakiś nieznajomy w długim płaszczu, szerokim kapeluszu, i długą laską w ręku.

— Kto jesteś i co cię tu sprowadza? — spytał znów starzec.

— Jestem przybyszem z dalekiej, germańskiej krainy i w pogoni za szczęściem, wstąpiłem do ciebie, ojcze — rzekł podróżny. — Dowiedziałem się, iż w waszej Hiszpanii jest ktoś posiadający cudowny talizman, o którym szeroko rozgłos się rozchodzi, a ponieważ jestem jednym z tych pokrzywdzonych, którzy się zrodzili pod nieszczęsną gwiazdą, postanowiłem odbyć tę długą podróż, aby jakimbądź sposobem zdobyć ów talizman, który położyłby koniec moim niepowodzeniom.

Mędrzec odpowiedział poważnie:

— Szczęście mogłeś znaleźć i w swej ojczyźnie.

— Byli tacy, co je znaleźli, ale nie na długo, ja zaś chcę je posiąść na zawsze! — rzekł nieznajomy z zapałem.

— Możesz mieć szczęście wieczne — odpowiedział starzec — ale musisz je wypracować i wymodlić na ziemi, nim przyjęty zostaniesz w niebie.

— Ach, daj mi spokój starcze z radą taką! praca jest podług mnie największem nieszczęściem, a o niebo nie dbam. Ja tu, na ziemi chcę mieć raj. Zaklinam cię, mądry człeku, powiedz, gdzie talizman mogę ten znaleść!

— A czy myślisz wędrowcze, że właściciel jego, zechce ci go odstąpić?

W oczach przybysza błysnął dziki ogień:

— Nie będę go prosił, ale oddać mi go musi!

— Powiem ci, gdzie jest, ale zarazem oznajmię, że źle na zdobyciu tem wyjdziesz.

— Nie boję się! — zawołał podróżny, — gdy talizman posiędę, nic złego nie będzie miało do mnie przystępu!

— A więc powiedzieć ci muszę, że skarb ten posiada Zuano, dawny giermek rycerza Bondara, zamordowawszy swego pana. Ty mu go odbierzesz, ale — krew za krew się wyleje.

— Tak, krew za krew! ja pomszczę to morderstwo! — i przybysz wybiegł z izby.

W noc ciemną i burzliwą, wśród grzmiących piorunów i blasku błyskawic, przedzierał się przez las gęsty, podróżny w długim płaszczu i szerokim kapeluszu. Wyszedłszy z gęstwiny, ujrzał opodal światło. — „To tam!“ — szepnął do siebie i gorączkowym krokiem podążył w kierunku jasności, jaką promień lampy rzucał przez okno wielkiego gmachu. Stanąwszy przed bramą, ostro w nią zapukał.

— Kto tam? — zapytał odźwierny, otwierając bramę.

Błysło żelazo w ręku podróżnego i sługa runął martwy na ziemię. Idzie dalej i zastępującego mu drogę pachołka kładzie także trupem, wreszcie wpada do komnaty Zuana, siedzącego w milczeniu przy świetle latarni.

Zbrodniarz jak zwierz dziki rzuca się na mordercę i wbija mu sztylet w serce. Jednocześnie wpadający z piekielnym trzaskiem grom, powalił obu zapaśników, którzy padli bez życia na ziemię.

W tejże chwili przez okno, z którego piorun wyłamał żelazną kratę, wleciał kosmaty upiór z rogami i skrzydłami nietoperza, a rozerwawszy szatę na piersi martwego Zuana, porwał w zęby talizman szczęścia i uniósł go w powietrze. Odtąd o skarbie tym nikt już nic nie słyszał.

---

Jak długiem jest życie, a co w niem chwil próżnych!
Na drodze co zawad, co przeszkód jest różnych...
Jak ciężko jest orać dział swego zagonu,
Jak mało nam w rękach zostaje zeń plonu!
A kiedy już blisko, już blisko noclegu,
Widzimy, co węzłów potargał czas w biegu;
Co skarbów nam zniszczył, co zabił nadziei,
Co dążeń najświętszych wytrącił z kolei,
Jak rankiem żywota biegliśmy szaleni!
Jak teraz idziemy zmęczeni... zmęczeni...